

NASZ FELIETON

FILOZOFIA SPECJALIZACJI CZYLI PILNUJ SZEWCZE KOPYTA

Andrzej Voellnagel

Jak dowiedzieliśmy się z: "Kto jest kim w Polsce" (edycja 3, 1993) autor jest artystą fotografikiem, publicystą i tłumaczem, absolwentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej. Był wykładowcą Technikum Mechanicznemu w Hanoi (Wietnam), tłumaczem w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie i wieloletnim tłumaczem tekstów technicznych oraz redaktorem naczelnym kwartalników "Przegląd Techniki Brytyjskiej", "Polish Engineering Review" i "Technika Zagraniczna". Opublikował ok. 160 artykułów, przetłumaczył 4 książki (m. in. W. Trylińskiego "Fine Mechanisms and Precision Instruments" na angielski i A. Feiningera "Nauka o fotografii" – na niemiecki i sam napisał 5 książek. A. Voellnagel jest autorem niezwykle popularnej i dowcipnej książki pt. "Jak nie tłumaczyć tekstów technicznych".

Tytuł mojego felietonu wiąże się z przysłowiem "szewc dratwy, krawiec igły powinien pilnować". Otóż uważam, że poszczególne dziedziny tłumaczenia różnią się od siebie nie mniej niż te tradycyjne zawody. I biada prawnikowi zmuszonemu do przekładu tekstu ściśle technicznego, tak samo jak inżynierowi postawionemu w obliczu zawłości terminologii prawniczej.

Oprócz zawodu dzielą też potencjalnych tłumaczy predyspozycje: błyskawicznie pracujący "kabinowiec" może zawodzić, gdy trzeba tekst doprowadzić na piśmie do idealnej formy językowej, a biegły w tej właśnie sztuce doznaje kołatania serca na sam widok kabinowych słuchawek. Jednak predyspozycje szybko ujawniają się w pracy i zaszeregowują tłumaczy do takiego trybu, w jakim osiągają najlepsze wyniki. Większej dociekliwości, tak ze strony pracobiorcy jak i jego pracodawców, wymaga treść przekładów. Można je podzielić na:

1) tematy interesujące tłumacza, często mieszczące się w dziedzinie jego pracy zawodowej pozatłumaczeniowej.

2) tematy nie mające nic wspólnego z pracą zawodową tłumacza, a jeśli zajmuje się on wyłącznie tłumaczeniem – po prostu nie znajdujące się w zakresie jego zainteresowań.

Z rozmaitych względów tłumacz może się imać tej drugiej kategorii. Tu przypomina mi się, że ponad 60 lat temu, w tygodniku dla dzieci i młodzieży pt. "Moje Pisemko" przytoczono jako memento słowa umierającego ojca:

"Synu, bądź uczciwy – próbowałem obu sposobów!"

Wybór pierwszej z wymienionych wyżej tematyk wydaje mi się właśnie takim probierzem uczciwości.

Sam nie jestem może bez winy, bo lat temu ponad 50 zacząłem – jak teraz widzę, nieudolnie – składać po polsku teksty ulubionego humorysty angielskiego P.G. Wodehouse'a. Pamiętam, że pochwalił mnie i zachęcał szekspirolog, Witold Chwalewik, kiedy się dowiedział, że usiłowałem potrójną aliterację "Kosy Kennel Kottage" oddać przez "Przyjemny Psi Pensjonat" – chodziło o miejsce pobytu psiej arystokracji w czasie wyjazdów właścicieli.

Jednak dalsze losy kazały mi porzucić te lżejsze, a tak ciekawe tematy i zająć się tłumaczeniami specjalistycznymi z szeregu dziedzin techniki. I tu pokazało się owe tytułowe "kopyto": o ile teksty dotyczące mojej wyuczonej specjalności, a także ubocznych intensywnych zainteresowań, "szły" stosunkowo łatwo i w dodatku ich tłumaczenie sprawiało mi pewną satysfakcję, o tyle wymuszone okolicznościami przekłady z obcych dziedzin stanowiły pracę katorżniczą. Mając przy tym okazję obserwować – a często i weryfikować – pracę kilkunastu tłumaczek i tłumaczy w tzw. dziale tłumaczeń pewnego biura projektowego, znalazłem potwierdzenie tych odczuć: osoby orientujące się w danym

temacie z racji swojego wykształcenia lub zainteresowań miały pracę ułatwioną i "uprzyjemnioną", a reszta... Doszło do tego, że jako odtrutkę na spotykane w weryfikowanych tekstach nonsensy zacząłem najbardziej jaskrawe przykłady notować! Około 300 z nich użyłem później w książce "Jak nie tłumaczyć tekstów technicznych", a tu przytoczę tylko 3 szczególnie charakterystyczne dla różnych kategorii błędów:

1) brak odczytania w literaturze technicznej, choćby na poziomie popularnych artykułów w prasie codziennej:

"first generation reactor" przełożono jako 'reaktor pierwotnego wytwarzania', kiedy przecież o reaktorach czy innych urządzeniach pierwszej, drugiej i dalszych generacji normalny człowiek musiał coś słyszeć!

2) braki wykształcenia lingwistycznego, np. sugerowanie się angielskim szykiem wyrazów, zapominając o przymiotnikowym znaczeniu pierwszego z dwóch kolejnych rzeczowników:

"cristal diode" to nie "kryształ diody" tylko "dioda (mono)krystaliczna", "battery locomotives" to nie "baterie lokomotyw" (w tłumaczeniu pojawiły się nawet "silniki lokomotyw") tylko "lokomotywy akumulatorowe" itd.

3) dowolne fantazjowanie na temat danych zamieszczonych w oryginale, tak np. w opisie koparki hydraulicznej:

"bucket capacity 1,24 m³, fuel 210 litres. engine oil 20 litres... etc.", a po polsku: "pojemność łyżki 1,24 m³, zużycie paliwa 210 litrów, oleju silnikowego 20 litrów...itd." – przecież "zużycie" musiałyby się odnosić do jakiejś jednostki, tutaj chyba do czasu pracy, ale naprawdę chodzi o "pojemność" zbiornika; wskazuje też na to rząd wielkości, który jednak nic nie mówi technicznemu analfabecie (czy analfabecie).

Łatwy byłby rewanż: kiedyś napotkałem określenie "dług hipoteczny". Ze zwyczajowej ciekawości sprawdziłem w słowniku znane mi słowo "mortgage". Owszem, zgadzało się, ale wierzyciela i dłużnika hipotecznego pewno bym pomylił, bo sąsiednie hasło "mortgagee" sugerowałoby mi stronę bierną (jak "employee"), czyli tego, którego dług dusi, a tu odwrotnie – dłużnikiem jest "mortgager" albo "mortgagor" (wymawiany wbrew regule jak angielski "major"). Jestem z całym uznaniem dla biegłych "w tym temacie"!

Fachowiec w danej dziedzinie ma zupełnie inny stosunek do oryginalnego tekstu niż ignorant, prowadzi jakby dialog z autorem i jest zainteresowany w tym, żeby jego myśli jak najdokładniej przekazać czytelnikowi. Ten "osobisty" stosunek do tekstu nie jest możliwy, jeśli dotyczy on obcej dziedziny. Tłumacz musi się jednak wykazać pewną wydajnością, prześlizguje się więc nad trudnościami, rzadko tylko – jeśli jest bardzo skrupulatny i ma odpowiednie znajomości – telefonując do fachowca z danej branży z prośbą o wyjaśnienia. W obu przypadkach doznaje frustracji – albo jest świadomy niedoskonałości swojej pracy, albo czuje się skrępowany "zawracaniem głowy" znawcy przedmiotu.

Doświadczenie z zespołem tłumaczy, o którym wspomniałem, pochodzi z lat sześćdziesiątych, a późniejsze, redakcyjne – z siedemdziesiątych – teraz sytuacja jest o wiele korzystniejsza. Przede wszystkim tłumacze uzyskują – a przynajmniej mogą uzyskać – lepsze przygotowanie zawodowe niż tamci, legitymujący się np. pracą w angielskiej fabryce zbrojeniowej podczas wojny, albo stopniem sierżanta armii brytyjskiej w kampanii egipskiej. Z drugiej strony popyt na pracę tłumaczy się zwielokrotnił i w znacznej mierze wyspecjalizował, łatwiej więc wybrać odpowiednią dziedzinę.

Jak ów ojciec z wcześniejszego cytatu wołam więc wielkim głosem: Koleżanki i Koledzy, zwłaszcza ci młodzi i początkujący, nie dajcie się ani zaszufladkować do dziedziny, która Was nic a nic nie obchodzi, więc odnośne tłumaczenia będą Was niepomernie nudziły, ani też zwabić do pracy obejmującej

"wszystkoizm" tłumaczeniowy. Takich geniuszy po prostu nie ma – w najlepszym razie można "wszystko" przetłumaczyć posługując się ogromną liczbą słowników specjalistycznych, encyklopedii, dzieł naukowych i konsultantów, osiągając w rezultacie mizerną wydajność.

Doskonałym przykładem na "wpadki" takich wszechstronnych talentów jest telewizja, gdy lektor zna akurat nie ten język, w którym zdarza mu się czytać nazwy miejscowości itp. Zaczyna się od tego, że nazwę reklamowanych francuskich kosmetyków "Panthene", z wyraźnym akcentem na drugim "e", lektor odczytuje z angielska "Pantiin", podobnie epoka "fin-de-siecle" to "fę-de-siiki". Lektor słyszał, że po włosku "c" czyta się jak "cze", więc wymawia "Cziwita weczia" – widocznie "nie brał" jeszcze lekcji o połączeniu "ch". Gorzej, że stara wytwórnia filmowa braci Warnerów, po angielsku "Warner Brothers", nazywa się u nas "Łorner Bros", bo tak właśnie pisze się angielski skrót "Braci". To tak, jakby ktoś u nas czytał "Bcia Jabłkowscy" czy "Bcia Borkowscy", bo nowsze firmy już takich skrótów nie używają.

Już drugi rok słyszę o sukcesach amerykańskiego jachtu "Stars and stryps" – chyba właściciele nie odwagiliby się zniekształcić nazwy sztandaru USA, która brzmi fonetycznie "Stars end strajps" – gwiazdy i pasy.

Patrzy lektor na film (mam nadzieję, że mu pokazują?), gdzie myśliwy skrada się do jelenia, i pyta: "Zastrzelimy tego łosia?". Błąd wkradł się nawet w najwyższe rejony, bo w "Przystanku Alaska" występuje młody lekarz, ortodoksyjny wyznawca religii mojżeszowej, i w jakiejś krytycznej sytuacji wydaje okrzyk "Oh, God!", a lektor też grzeszy wzywając imię Boże, ale z zupełnie innego wyznania: "O, Jezu!".

Wracając do predyspozycji: np. tłumacze konsekwentnie pracują pod mniejszym ciśnieniem niż symultaniczni – w ostateczności mogą zawsze poprosić o powtórzenie jakiejś wypowiedzi – ale mogą się spotkać z kłopotliwymi sytuacjami. Najpierw przykład z początków II Rzeczypospolitej, przytoczony w książce Janiny Dunin-Wąsowiczowej pt. "Wspomnienia": "...opowiadano np., że kiedy królowa rumuńska jechała powozem z panią prezydentową do Rembertowa, aby tam oglądać ćwiczenia wojskowe, pani Przeździecka z ramienia "protokołu" i tłumaczka miała wiele kłopotu. Królowa mówiła po francusku i chciała powiedzieć coś miłego polskiej prezydentowej.

– Jaki piękny las! – powiedziała, gdy powóz przejeżdżał przez las. Przeździecka przetłumaczyła, a prezydentowa stwierdziła:

– Las, jak las!

Teraz pani Przeździecka zaczęła tłumaczyć królowej, że prezydentowa oświadczyła "cóż znaczą nasze lasy w porównaniu z pięknnością lasów Rumunii, itd."... Na to królowa:

– Jaki język polski jest dziwny. Prezydentowa powiedziała tak krótko, a to tyle znaczy..."

Takich błędów z pewnością już nie popełniają współcześni tłumacze, uważając aby długość wypowiedzi w obu językach była mniej więcej jednakowa. Ale co zrobić, gdy treść nie nadaje się dla uszu partnerów? Pozostaje błyskawiczna jej podmiana.

Taki przypadek miałem uczestnicząc w wizycie dwóch członków pewnego stowarzyszenia w jednym z krajów socjalistycznych w 1987 roku. Panowała tam wtedy w pewnym stopniu odwilż, pojedynczy rozmówcy wypowiadali się krytycznie o systemie, ale w większym gronie taka swoboda była nie do pomyślenia. I właśnie przy okazji 8- czy 10-osobowej konferencji, kiedy gospodarze roztaczali przed nami plany inwestycyjne wielkiego zakładu, którego otwarcie miało nastąpić za 2 lata w nieistniejącym jeszcze wieżowcu – mój współtowarzysz podróży zażartował w stylu przyjętym wtedy u nas, ale i to raczej w rozmowach prywatnych. "No, i jak to u nas w socjalizmie", powiedział, "urzeczywistnienie tych planów przedłuży się o wiele lat". Na szczęście nie znał angielskiego, więc moim zadaniem było

przełożyć jego słowa na ten język, zrozumiały dla przydzielonego nam tłumacza. Jednak w porę spostrzegłem zagrożenie – w zdaniu znaczącym oczywiście zupełnie co innego muszę użyć słowa "socjalizm", bo jego angielskie brzmienie będzie dla autora wypowiedzi znajome i nie słysząc go może zakwestionować wierność tłumaczenia. Powiedziałem, że "podobnie jak inne budowle socjalizmu, instytucje te z pewnością będą bardzo pożyteczne".

Nie miałem możliwości manewru przy późniejszej okazji – bo padło pytanie kolegi, dlaczego kierowca przydzielonego nam samochodu japońskiej marki rusza zawsze z drugiego biegu, a nie z pierwszego. Moim zdaniem pytanie to:

1) albo podważało kompetencje zawodowe kierowcy i to w obecności jego zwierzchników – bo może on to robił przez nieświadomość szkody jaką wyrządza mechanizmom i przez lenistwo,

2) albo obnażało naszą nieznaną japońskich wozów – bo może w tym akurat modelu instrukcja przewidywała pierwszy bieg jako rezerwowy i kazała normalnie ruszać z drugiego wobec nadwyżki elastyczności silnika – co dawałoby mu przewagę nad eksportowanym przez nas Polonezem.

W każdym razie samo pytanie sugerowało raczej odpowiedź pierwszą, znacznie zresztą bardziej prawdopodobną, a na takie ryzyko nie pozwalał kurtuazyjny charakter wizyty. Odmówiwszy więc stanowczo przekładu, straciłem na kilka godzin przyjaciela, bo tak długo był na mnie obrażony.

Na koniec chciałbym zaapelować o nieuleganie błędom i absurdom wprowadzanym do języka polskiego bądź przez naśladownictwo wadliwych tekstów, bądź nawet przez niewczesne zarządzenia, jak owe sławetne marki samochodowe (czy nawet typy samolotów) pisane małą literą. Podobno na ostatnim posiedzeniu Komisji Kultury Języka zasada ta utrzymała się już tylko przewagą dwóch głosów – można mieć nadzieję, że wkrótce zaniknie aktywność prawodawcza pokolenia, które za Gomułki (nie lubiącego samochodów) ów bezsens wprowadziło. Pozytywny przykład dają czasopisma motoryzacyjne, a także odnośny dział "Życia Warszawy", gdzie w dłuższym artykule tylko raz napisano przez małe "r" "wśród renaultów", a wszystkie inne marki – z dużej litery.

Do błędów językowych trzeba zaliczyć m.in.:

"uzupełnić o" zamiast "uzupełnić kimś, czymś"

"coś jest na rzeczy" zamiast "coś w tym jest"

"prezydent" zamiast "prezes" (stowarzyszenia, spółki itp.), *

"I to by było na tyle" zamiast "na tym kończę". Właśnie!

** W tym ostatnim przypadku radzimy całkowicie poddać się dyktatowi nie tyle jakiegokolwiek osoby związanej z pełnieniem tej funkcji, ale jednoznacznej tradycji języka polskiego, która tytuł ten rezerwuje wyłącznie dla głowy państwa i głowy władz miasta. Oba te terminy zaś są określone przez prawo polskie, co definitywnie przesadza o zakresie ich stosowania. To już jest co prawda wiedza specjalistyczna, która jednak przydaje się nawet w życiu codziennym. (przyp. red.)*